

Brychczy: Epin Kici Pikum Pakum

Niedziela, 25 października 2009 r. godz. 11:58, źródło: Magazyn Sportowy

Urodził i wychował się na Górnym Śląsku. Mimo to zanim sprowadził go do siebie jeden z klubów z wyższej ligi, trafił do wojska. Do Legii. "Legia nie wzięła mnie na siłę z jakiegoś mocnego klubu, tylko wyciągnęła z klasy A" - wspomina Lucjan Brychczy. Do wojska jednak trafił... podstępem - wspomina w Magazynie Sportowym, piątkowym dodatku do Przeglądu Sportowego "Kici".

"Do domu przyjechał jakiś podpułkownik z kartą zgłoszeniową do CWKS. Powiedział, że wyjeżdżam do stolicy. Ja byłem przestraszony, mówię, że chyba najpierw pobór... Na to on odpowiada, żebym się nie przejmował, bo przecież jak wcześniej pójdę do wojska, to i wcześniej skończę służbę. Miałem więc wyjść wcześniej, a zostałem do dzisiaj" - wspomina.

Kiedyś mógł zostać pięściarzem, ale zabronił mu tego ojciec. "Dwa razy poszedłem na trening pięściarzy i dobrze mi szło. Robiłem szybko postępy i wytypowali mnie do walki pokazowej. Jak się ojciec o tym dowiedział, zakazał mi uprawiać boks. Powiedział, że to niebezpieczne i ogłupiające. Dlatego zacząłem grać w piłkę" - mówi Brychczy.

Dawniej nie tak łatwo było o piłkę, więc trenowano na podwórku mniejszym odpowiednikiem. "Na podwórku kopaliśmy piłeczkę tenisową albo - jak się czasem trafił bogatszy kolega - to i prawdziwą piłkę do nogi. Okazało się, że do tego też mam talent. Jak było nas czterech, to mówiłem - gramy jeden na trzech, inaczej nie ma sensu. Bo i tak robiłem z nimi, co chciałem" - wspomina młodzińcze lata.

Zanim trafił na Łazienkowską był na testach w Ruchu Chorzów. Tam jednak nie poznali się na talencie Brychczego, który dwa lata później grał już w reprezentacji Polski. "Dali mi za duże buty i traktowali jak powietrze. Obiecali działaczowi, to wzięli, ale żeby pograć, to już niekoniecznie. Od razu po treningu wiedziałem, że tutaj to ja nie zagram" - wspomina. Później wypatrzył go Piast Gliwice i Legia. Wszystko za sprawą meczu rozgrywanego na stadionie Ruchu, przy okazji finisu Wyścigu Pokoju. "Wróciłem z tego meczu i zaraz zgłosili się działacze Piasta, którzy chcieli budować wielki zespół. Niestety dla nich wypatrzył mnie też Janos Steiner, trener CWKS. I wziął do wojska" - przypomina Brychczy.

Obecnie piłkarze często wychodzą w miasto. Czy legionieści balowali także w latach 50-tych? "Gdzie tam. Zresztą ja i życie nocne? W pierwszym okresie byliśmy skoszarowani w barakach przy Legii. Trening, obiad i karty. No i na basen na Legii można było wyskoczyć. (...) Czasem na jakiś dancing można było wyjść. Ale to później, jak już żona do mnie dołączyła" - mówi 75-letni Pan Lucjan.

58-krotny reprezentant Polski wspomina także trenera Steinera, z którego podśmiewano się w drużynie. Bynajmniej nie ze względu na warsztat pracy. "Steiner mówił trochę po niemiecku, trochę po węgiersku, trochę po polsku. Taktyka według Steinera była taka: "Wpin, Kici, pikum pakum, Ernest szus, eins nul CWKS". Rozumie pan? Nie? To przetłumaczę: Kowal podaje do Brychczego, on do Ernesta Pola, który strzela i Legia prowadzi 1-0. Proste, prawda? Wszyscy pękaliśmy ze śmiechu" - wyjaśnia.

Lucjan Brychczy wspomina, że jeszcze w latach 50-tych Polonia miała więcej kibiców, ale świetna gra piłkarzy z Łazienkowskiej szybko zmieniła proporcje. "W Warszawie wtedy więcej było kibiców Polonii, ale zaczęliśmy się szybko przebijać, zdobywać publiczność. Ludzie przychodzili na nas, bo nawet jak nie wygrywaliśmy, to zawsze było wspaniałe widowisko" - wspomina "Kici". Obecnie na trybuny nie można wejść pod wpływem alkoholu. Kiedyś na trybunach można było wypić piwo, a pijalnia znajdowała się nieopodal stadionu. "A doping jaki był... Na trybunach można było napić się piwa, niektórzy przemycali też wódkę, ale nikomu to nie szkodziło, była świetna zabawa" - wspomina.

Dla Brychczego sukcesem, który sprawił mu największą radość było pierwsze mistrzostwo Polski w 1955 roku wywalczone w Sosnowcu. "Kto wygrywał, był mistrzem. Oni przygotowali się na święto, orkiestra dęta gotowa do wielkiej imprezy, od pierwszej

minuty prowadzili 1:0. I popsulem im święto, a orkiestra musiała zagrać dla nas" - mówi Pan Lucjan. Pod koniec piłkarskiej kariery zagrał w 1/2 finału Pucharu Mistrzów z Feyenoordem. "Szkoda tego meczu, mogliśmy awansować. Przecież ja miałem w Warszawie setkę, i Małkiewicz" - wspomina po latach.

40 lat temu zainteresowany sprowadzeniem Brychczego był Real Madryt. Wówczas jednak każdy piłkarz polskiej ligi mógł jedynie pomarzyć o wyjeździe zagranicznym. Tak też było w przypadku legendy Legii. "Nigdy nie mogłem grać w Realu, bo wtedy nie było sensu nawet marzyć o wyjeździe... No, pomarzyć to może było można (...) W 1959 roku w Chorzowie graliśmy w eliminacjach ME z Hiszpanią. Przegraliśmy 2-4, ale techniką im nie ustępowaliśmy. Ja wtedy zdobyłem taką bramkę jak Di Stefano, przerzuciłem nad obrońcą i strzeliłem. I szczerze mówiąc, do tej pory się zastanawiam, jak to wpadło" - mówi Brychczy, który dodaje, że do bezpośredniej rozmowy z nikim z Realu nie doszło.

Pan Lucjan ostatnio coraz rzadziej jeździ na wyjazdowe mecze z drużyną. "Nie to zdrowie, powoli te jazdy zaczynają mnie męczyć" - wyjaśnia. Co innego dojazdy na Łazienkowską. Jak dojeżdża na stadion? "Autobusem numer 171 i z Krzyśkiem Dowhaniem. Jakoś tak wyszło, że nie mam prawa jazdy" - kończy ciekawą rozmowę żywa legenda Legii.

Więcej w Magazynie Sportowym Przeglądu Sportowego.